

Wazeliniarze imperializmu

Po atakach na rafinerie w Arabii Saudyjskiej można było doświadczyć czegoś w rodzaju *déjà vu*. Jakbyśmy się nagle obudzili w roku 2001. Oczywiście, *toutes proportions gardées*.

Donald Trump i Boris Johnson, to nie George W. Bush i Tony Blair, rafinerie w Bukajk i Churajs to nie WTC i Pentagon, rebelianci jemeńscy to nie Al-Kaida, a Iran to nie Afganistan... Ale reszta się zgadza.

Wymierzony w serce światowego sektora energetycznego, skuteczny zamach niemal natychmiast wywołał wojenną gorączkę w Waszyngtonie, za którym podążył wierny giermek z Londynu. Dla ludzi szukających wygodnego pretekstu, by zaatakować Iran sytuacja jest znakomita. Zarówno sam Trump i jego sekretarz stanu Mike Pompeo, jak i niezawodny w tej kwestii sojusznik z Izraela - Benjamin Netanjahu - ledwie skrywają swoje marzenia o ujrzeniu defilady amerykańskich czołgów w zrujnowanym Teheranie. I nie przeszkadza im fakt, że jedna taka defilada całkiem niedawno już się odbyła - w 2003 r. w Bagdadzie - i dała początek kompletnej klęsce USA w wojnie irackiej. Jeszcze mniej snu z powiek antyirańskich jastrzębi spędza ludobójcza w skutkach wojna, którą ich saudyjski pupil prowadzi w Jemenie. Atak na rafinerie jest jej częścią - stanowi odpowiedź na niszczycielskie bombardowania lotnictwa Rijadu. O ile jednak irańskie wsparcie dla reżimu Asada w Damaszku wywołuje moralne oburzenie w Waszyngtonie czy Tel Awiwie, to saudyjska inwazja na sąsiedni kraj okazuje się co najwyżej epizodem słusznej wojny z terroryzmem.

Skądinąd jest to bardzo otrzeźwiająjące. Po pierwsze dla tych, którzy w ostatnich latach uwierzyli, że głównym źródłem niestabilności w naszym najlepszym ze światów są wyłącznie imperialne ambicje Rosji i ekspansja ekonomiczna Chin. Po drugie dla tych, którzy myślą, że klimat nie tylko zmienia wszystko, ale także zawiesza wszystkie dotychczasowe zagrożenia, pozwalając je ignorować jako nieistotne.

Co prawda nie ma dobrych mocarstw i postępowego imperializmu, ale są imperializmy mniejsze i większe. W istocie zaś rosyjskie zaangażowanie w Syrii i Ukrainie nie może się równać ze skalą militarnego interwencjonizmu już nie tylko USA, ale najpewniej także i Francji (która w ostatnich latach wysłała swe wojska do Mali, Republiki Środkowoafrykańskiej, Czadu, Libii i Syrii). Chiny z kolei, jak

na razie, w ogóle nie ścigają się z mocarstwami zachodnimi na polu interwencji militarnych, choć ochoczo biorą udział w wyścigu zbrojeń. Jeśli natomiast chodzi o klimat, to reakcje na ataki w Arabii Saudyjskiej uświadomiły nam boleśnie jak bardzo świat pozostaje uzależniony od ropy naftowej z Bliskiego Wschodu. Nawet celebrowana kilka lat temu rewolucja łupkowa nie zmieniła tego stanu rzeczy. Z pewnością ludzkiej cywilizacji na planecie zagraża zagłada klimatyczna, ale nie zmniejsza to realności zagrożenia wojennego płynącego z rywalizacji o tradycyjne imperialne monopole surowcowe. To drugie może nastąpić znacznie przed rokiem 2050.

Czy trzeba dodawać, że Polska ma w tym wszystkim swój udział? Po niesławnej antyirańskiej konferencji w Warszawie w lutym tego roku, trudno mieć wątpliwości jakiej odpowiedzi udzielił prezydent Duda lokatorowi Białego Domu na pytanie o ewentualny udział Polski w agresji na Iran. Polski prezydent, który w przemówieniach wygłaszanych w kraju nigdy nie zapomina wspomnieć o narodowej dumie i suwerenności, nie odmawia niczego swojemu starszemu koledze zza Atlantyku. Więcej, jego formacja potrafi wyprzedzić życzenia Trumpa zanim ten je wypowie. Trudno inaczej oceniać decyzję o zakupie samolotów F-35, rezygnacja z opodatkowania gigantów internetowych i powszechną radość ze zwiększania obecności wojsk obcego mocarstwa na terenie III RP, za którą w dodatku Polska będzie słono płacić.

Być może wytłumaczeniem takiego stanu rzeczy jest ponadpartyjna zgoda, która od trzech dekad łączy naszą klasę polityczną i największe media w kwestiach polityki międzynarodowej, a szczególnie polityki bezpieczeństwa narodowego. Po 1989 r. jedynie Radosław Sikorski miał odwagę wyłamać się powszechnego serwilizmu, stawiając Amerykanom warunki, gdy Waszyngton planował wykorzystać polskie terytorium do instalacji baz mających służyć amerykańskim (bo nie polskim) interesom. Cała reszta, od prawicy do lewicy, biła rekordy wazeliniarstwa, ale przede wszystkim pogardy dla prawa międzynarodowego i praw człowieka, wysyłając polskie wojsko na amerykańskie wojny imperialne do Afganistanu i Iraku, godząc się na zakładanie w Polsce tajnych katowni CIA, kupując zdezelowany amerykański sprzęt na fatalnych warunkach, a wreszcie dając się wygrywać Waszyngtonowi przeciw partnerom z Unii Europejskiej. W takich warunkach pytanie, czy w razie kolejnej wojny Polska znowu przyłączy się do agresora wpychając miliony ludzi w cierpienia, biedę i śmierć wydaje się jedynie retoryczne.

Niestety nie ma się co łudzić, że polska opinia publiczna w dającej się przewidzieć przyszłości przejmie się ofiarami naszego bezkrytycznego poparcia Waszyngtonu. W końcu nie na darmo najważniejsi jej uczestnicy od XIX w. wmawiają sobie, że jedyną prawdziwą, i na dodatek niewinną, ofiarą byliśmy zawsze my, i z tego powodu świat winien nam wdzięczność i zniesienie wiz do USA . Robienie z siebie niepokalanej ofiary, to skądinąd najlepszy kurs obojętności i okrucieństwa. Takiego jak choćby to, którym znaczna część polskiej opinii wykazała się kilka lat temu wobec uchodźców z Syrii.